

Treść numeru:

	Str.
Pamiętniki Gener. Zamoyskiej	101
Uległość Duchowi św.	108
Upiększanie ogrodów bylinami	110
Kronika	113
Wycieczka na Granaty	115
Z listów dawnych uczennic	120
Wydawnictwa	123

ROCZNA PRENUMERATA: 10 ZŁ.

Wydawca:

Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Społeczne
pod opieką Matki Boskiej Dobrej Rady. Zakopane—Kuźnice

Redaktorka odpowiedzialna:

Aniela Strawińska

Adres Redakcji i Administracji „Kuźniczanki”:

Kuźnice, poczta Zakopane.



Pamiętniki Jenerałowej Zamoyskiej.

(ciąg dalszy)

Pobyty w Anglii i Szkocji.

Pan Konstanty Zamoyski, najstarszy brat mego męża, ordynat, od śmierci żony coraz więcej przebywał w Anglii, a nareszcie zupełnie tam zamieszkał. Dziwny to był człowiek. Zatruił sobie stosunki z rodzicami, z żoną, z dziećmi, a nareszcie mając liczną rodzinę, żył i umarł jak pustelnik; mając wielki majątek, żył i umarł jak nędzarz; będąc Polakiem, żył i umarł na obczyźnie. A jednak, nie był to człowiek ani zły, ani ograniczony; przeciwnie, był wyjątkowo bystry, wykształcony, pracowity, delikatnych uczuć i kraj miłujący. Ale wszystko na swój sposób i wszystko z jakąś przesadą dla drugich nieznośną i uciemiężliwą. Dbał o naukę, ale dzieci mordował nauką; chciał oszczędności, ale ją posuwał do skąpstwa; kraj kochał i dziwnie bystro i trafnie o sprawach jego sądził, jak się z listów jego z 1830 roku przekonać można; ale sądząc trafnie o rzeczach, nie umiał przemawiać do ludzi, tak ażeby ich przekonać i pozyskać. Z nikim żyć nie umiał i nikt z nim.

Mój mąż jednak tak był dbały o wszelkie rodzinne stosunki i tak tego brata z wielu miar cenił, że nie dał mu ze sobą zrywać. Zawsze mu donosił kiedy miał zamiar do Londynu przyjechać i ostrzegał do której godziny będzie na niego u siebie czekał — a jak się nie doczeka, to do niego pójdzie.

Pan Konstanty żył i ubierał się dziwacznie jak ostatni nędzarz.

Za przyjazdem naszym do Londynu, przyszedł do nas Dr. Yong, wielki przyjaciel mego męża, który go na obiedzie zatrzy-

mał, wraz z paru innemi osobami. Przy obiedzie, zaczęła się rozmowa o rozmaitych stopniach obłąkania i jak niektórzy ludzie są tak obłąkani, że są w życiu niemożebni, a nie na tyle żeby ich można zamknąć.

W tem służący hotelowy mówi memu mężowi: „Proszę Pana, jest tam jakiś człowiek, mówi że jest pańskim bratem“. Mój mąż wstał od stołu, pobiegł po brata i przyprowadził go do jadalnego pokoju. Wszedł pan Konstanty; miernego wzrostu, trochę pochylony, włosy siwe i rozwiane, a dosyć długie; oczy żywe jak iskry, wargi tak cienkie, że zaledwie zaznaczone, twarz ogolona, uśmiech trochę szyderczy, ale łagodny i smutny; spodnie za wąskie i za krótkie, jakiegoś tabaczkowego koloru; buty na gwoździach, surdut jakiegoś niebywałego kształtu, a na tem wszystkiem szara peleryna, niewiadomo czy kobieca czy męska, fiakerska.

Pan Yuong spojrzał na niego i powiedział: „Oto właśnie typ tego, o czem była mowa“. Ale po chwili, jak zaczął rozmawiać o wszystkich bieżących sprawach, pokazało się, że jest taki czytany i dowcipny i oryginalny w swoich spostrzeżeniach, jak mało kto. Mój mąż zawsze uradowany był, jak brat się takim okazał, i nie mógł dosyć mu okazać serdecznej radości.

Pan Konstanty, dzieci nasze obsypywał drobnemi podarunkami; skupywanie drobnych, tanich gracików, było ulubioną dla niego rozrywką.

W Londynie mnóstwo osób mnie odwiedzało, bo w Anglii jest zwyczaj, że osoba przyjeżdżająca do jakiegoś miejsca, sama nikogo nie odwiedza, ale czeka aż ją odwiedzą miejscowi.

Odwiedziła mnie tak Lady Strotford i jej córki, panny Caning, stambulskie moje przyjaciółki. Odwiedził lord Harrowby i powiedział, że żona jego siostra lorda Dudley Stuart, jest cierpiącą na wsi, w Sandon, pod Londynem, że nie wychodzi wcale z pokoju, ale że chce mnie poznać i prosi żebym do niej przyjechała.

Ja takie miałam zbolełe serce po stracie córeczki, że gdybym była mogła, tobym się była schowała w jakiej kreciej jamie, żeby nikogo nie widzieć. Ale ciągle sobie powtarzałam, że ludzie mający jakie zmartwienie są zawsze plagą nieznośną dla drugich; że nie trzeba taką być, ani dla mego męża, który sam był bardzo zboleły, a może tembardziej żeśmy oboje zupełnie nic a nic od pierwszej chwili mówić do siebie nie mogli o tem co nas bolało; ani dla Cesi, której trzeba było uprzyjemnić pobyt i podróż po Anglii, ani dla panny Birt, która może żywiej odczuwała wszystko co mnie obchodziło niż ja sama; ani dla dzieci biednych.

Zrozumiałam doskonale, że wszelka boleść staje się pokusą samolubności i brzydziłam się myślą, że tak ze mną staćby się mogło; toteż nigdy bardziej, jak wówczas, nie starałam się o to, ażeby być wszystkim przyjemną.

Pojechaliśmy więc do Sandon, i pojechał z nami Tomasz Zamoyski syn starszy pana Konstantego.

Lady Harrowby była straciła przed kilku miesiącami córkę jedynaczkę 18-letnią i od tej pory z jej własnem zdrowiem było coraz gorzej. Nikogo nie widywała, nie przyjmowała, ale mego męża przez wspomnienie na brata lorda Dudley, bardzo ceniła, dlatego chciała mnie poznać, a nasz smutek był jej rękojmią, że się ze mną porozumie; ale ani Cesi, ani Tomasza przyjąć nie mogła. Mnie, tak do serca przycisnęła, jakby to matka moja mogła była uczynić. Po kilka razy każdego dnia po mnie posyłała i rozmawiała ze mną, czemu się jej mąż i synowie wydziwić nie mogli. Ona niedługo potem umarła, a lord Harrowby i starszy syn jego lord Sandon i młodszy pan Ryder, zawsze mi potem przez wspomnienie na nią, wielką okazywali życzliwość.

Lord Harrowby tak jak lord Kinnaird, cały nam swój dom pokazał. Urządzenia bardzo były do siebie podobne; ale w dodatku pokazał miejsce, w którem węgle palił na gaz do własnego użytku; co może dać pojęcie o ilości, którą mógł na użytek swego dworu wypotrzebować! Utkwiła mi też w pamięci mleczarnia śliczna; okrągły budynek murowany i na wół spuszczonej w ziemię okna małeńkie dokoła, żeby przeciągi wprowadzać do woli. Schodziło się kamiennymi schodami, podłoga kaflowa czerwona, wyświecona jak zwierciadło i cała mleczarnia dokoła białymi kafkami wyłożona. W koło mleczarni, na metr od ziemi półka marmurowa biała, a na niej czary czerwone fajansowe z mlekiem. Na środku mleczarni biały marmurowy stół.

Pokazał mi też budujący się dom na pamiątkę lorda Dudley Stuart. W Anglii jak chcą pamięć czyjaś uczcić, to bardzo często zamiast żeby zbierać składki na jakiś martwy pomnik, stawiają pomniki żyjące: szpitale, szkoły, schroniska, zakłady naukowe, przemysłowe i inne, według tego czem się zmarły zajmował. Gdyby się lorda Dudley był kto spytał, czem pamięć jego uczcić, to z pewnością byłby prosił o coś pomocnego dla Polski i Polaków, bo im całe serce i myśli i życie poświęcił. Ale że go nie pytano, więc zrobiono jakieś przytulisko dla miejscowych biednych pod jego nazwiskiem: *Lord Dudley's Refuge*.

Nasz pobyt w Londynie przedłużył się nieco, nie pamiętam już z jakiego powodu. Gdy teraz pomnę co w Londynie i Anglii zwieźżałam i czem się zajmowałam, zarówno wówczas, jak we wszystkich następnych podróżach, to mogę sobie zdać sprawę, że zupełnie co do joty wierną byłam postanowieniu wziętem w dzień ślubu *); ale o ile to postanowienie było dla mnie mądrym i pożytecznem, tego sama nie wiem; że mi wiele przysług oddało to rzecz pewna, ale czy nie było czasem ze szkoda, zato bym rzeczy nie śmiała.

N. p. co do stosunków, takie tylko zawierałam, jakich mój mąż pragnął, i w takiej tylko mierze w jakiej on tego pragnął; a on takich tylko pragnął i o tyle, o ile myślał, że w jakikolwiek sposób i w jakiej bądź mierze przydatne być mogą sprawie naszej narodowej, czy tak jak zwykle się mówiło w naszym otoczeniu, poprostu „Sprawie“. Ten wyraz: Sprawa, był tak między nami utarty, że cudzoziemcy, którzy bliższy z nami mieli stosunek, nigdy się inaczej nie wyrażali. N. p. mówiono, że to, lub owo byłoby do czynienia „dans l'intérêt de la Sprawa“; albo że tego lub owego, trzeba by pozyskać dla Sprawy i t. p.

Ja też takie tylko miałam stosunki jakie mój mąż uważał za korzystne dla Sprawy. A więc z ministrami, z członkami parlamentu, z tymi co pisali lub wpływali na dzienniki, z tymi co pieniędzmi pomagać chcieli i mogli i t. p. To tylko zwiedzałam, to czytałam, tem się tylko zajmowałam, co w ten lub ów sposób sprowadzało wodę na jego młyn lub na mój.

Mego męża obchodziło głównie to, co Emigracja i co on jako emigrant mógł czynić dla kraju poza krajem. W jego ocenieniu, jedno z głównych zadań Emigracji, polegało na tem, żeby rządy zachodnie i ludy zachodnie obznajmiać z tem, co się dzieje na Wschodzie, co się dzieje u nas, z działaniem Moskwy tak w zachodnim jak we wschodnim kierunku, tak na północ Europy, jak na południu, żeby baczość ich budzić, żeby uwagę ich zwracać na grożące im niebezpieczeństwa ze strony Moskwy. Żebyśmy Polacy, tak jak dawniej acz w inny sposób bronili Europę od Wschodu, a zarazem dowodząc ciągle naszego życia i istnienia, zmuszając Zachód, żeby o nas wiedział, pamiętał i z nami się liczył, nie dał przywalić nad sobą grobowego kamienia, ale żebyśmy bądź co bądź trzymając go ciągle otwartym i ciągle trapiąc

*) W dzień ślubu swego, Jenerałowa Zamoyska postanowiła nie szukać w niczem własnego zadowolenia.

Europę naszym nieprzytłumionym głosem, umożliwili sobie wyjście z tego grobu, do którego nas wtrącono i w którymby nas zdeptać i zagłuszyć chciano.

Mnie, obchodziło więcej to, coby dla kraju, w kraju uczynić można; to do czego każdy obowiązany; to co niczyje siły i niczyją możność nie przewyższa; te mnóstwa rzeczy drobnych, które ostatecznie stanowią cnotę, ład, oszczędność, bogactwo, siłę, niezależność osób, rodzin, kraju całego.

Rozumiałam i szanowałam zapatrywania mego męża, ale skądinąd nie spuszczałam z oka tego co mnie obchodziło. A raczej, prawdę powiedziawszy, najczęściej sama nie wiedziałam dlaczego to, lub owo, mnie obchodzi; ale jakimś instynktem wiedziona, na to tylko patrzałam, i tem się tylko zajmowałam co w jakiś sposób mogłoby w kraju być przydatnem.

I tak mimo częstych i długich pobytów w Anglii, nie byłam ani razu na wyścigach ko nych Derby i Epsom; nie byłam ani razu na żadnej wojskowej paradzie; nie zwiedziłam ani Greenwich, ani tunelu sławnego pod Tamizą, ani London Tower; raz jeden tylko byłam w teatrze, nie pamiętam z jakiego powodu; raz jeden tylko byłam w Izbie Lordów, bo zaprowadziła lady Malmesbury, żona ministra spraw zagranicznych, ażeby usłyszeć jej męża, mającego mówić o Polsce. Zdawało mi się, że to wszystko nie da się przezemnie zażytkować i że zatem nie mam tam co robić. Wyraźnie jednak żałuję, że nigdy nie zwiedziłam British Muzeum, dokąd zaledwie raz, na kilka minut weszłam, w jakimś interesie mego męża i z nim.

Sama nie wiem, czy taka wyłączność pod względem duchowym i umysłowym, jest korzystną; może że i nie; a skądinąd tak jak potoki ujęte w ciasne brzegi nabierają pędu i siły, którychby nie miały gdyby im wolno było na wszystkie strony się rozlewać, tak samo umysł i dusza zawsze skupiona w jednym kierunku, stają się głębsze i silniejsze przynajmniej w danym kierunku, niż te, które na wszystkie strony szukają zajęcia i rozrywki.

Zwiedziłam w Londynie szpital dziecienny, mający podwójny cel, pielęgnowania chorych dzieci i kształcenia piastunek. Zupełnie taki podwójny cel odpowiadał moim marzeniom; służba przy dzieciach stająca się nauką, a nauka — służąca do służby. Podobała mi się ta nauka, to kształcenie, takie dokładne, w którym najmniejszy szczegół był uważany za rzecz ważną, zasługującą na uwagę ludzi wykształconych. Cóż na świecie może być

smutniejszym, a skądinąd wstrętniejszym jak szpital dzieci biednych, chorych, źle wychowanych! Otóż myślą przewodnią w tym szpitalu, który nie liczył nad 30 łóżeczek było właśnie żeby tam było wesoło, schludnie, przyzwoicie; a skądinąd posługaczki, które wprawicno do tego wszystkiego, co chorym dzieciom mogło ulżyć w cierpieniu, co mogło porządek i czystość około nich zaprowadzić i utrzymać; co mogło je trochę okrzesać i wychować, same siebie kształciły i doświadczenia nabierały. Ogromną miałam ochotę zapisać się tam na naukę; pytałam o warunki. Nie przyjmowano na naukę na mniej niż na 6 miesięcy, i to tylko za szczególną łaską. Rzecz to była dla mnie niepodobna, ale jakże mi się uśmiechała, i z jakim żalem stamtąd odeszłam, myśląc sobie, że każdy może się uczyć tego czego chce, ale że ja nigdy nie mogłam i nie mogę uczyć się tego o co mi chodzi, żeby się nauczyć nie tego co o rzeczach rozmaitych myśleć i mówić, ale jak je wykonywać z dokładnością i umiejętnością.

Inny zakład wpadł mi także w oczy, choć dla mnie mniej był zajmującym. Tak zwane *raged schools*, czyli dosłownie tłumacząc „obdarte szkoły“. Nazwa daje dokładne wyobrażenie o rzeczy. Szkoły te, przeznaczone dla najbiedniejszych, na pierwszy rzut oka były straszne, bo dzieci co do jednego były ubrane w stare surduty, fraki, kurtki, zbierane składkowym sposobem, na pół zdarte, wypłowiałe, a w każdym razie zupełnie nie na miarę chłopców którym się dostawały. Jednak, przypatrzwszy się bliżej, widoczne było, że chłopcy ci są czysto utrzymeni. A chociaż nie mieszkali w szkole, były tam gotowe dla nich kąpiele, tak że kilkunastu naraz kąpać się mogło. Co pół godziny wodę zmieniano, i kilkunastu innych kolejnie się kąpało. Chłopaki doskonale grali na rozmaitych instrumentach i wcale niezłą stanowili orkiestrę.

Widziałam ogromny Zakład, utrzymywany przez zakonnice Puseistki, gdzie przyjmowano kobiety bez zarobku i zajęcia; zajmowano je praniem i prasowaniem. Ale od tego czasu widziałam o wiele lepsze zakłady tego rodzaju we Francji. Te zakłady jednak, jak mi się zdaje, mijają się ze swoim celem. Celem: zajęcie pracą i zarobek dla bardzo ruchomej ludności. A dlatego że ruchoma, trudno się na ich pracę spuszczać; często bardzo jest nieudolną. To też żeby nie stracić roboty i chlebobdawców, trzeba, bądź co bądź, mieć robotnice stałe i umiejętnie, a nie te, dla których zakład przeznaczony.

Królowa Marja Amelja, wdowa po Ludwiku Filipie, mieszkała w Clarmont, dawnym pałacu księżniczki Charlotte, pierwszej żony

Leopolda króla belgijskiego, a że drugą jego żoną była córka Ludwika Filipa, więc po rewolucji francuskiej 1848 r. i po upadku Ludwika Filipa i jego ucieczce do Anglii, król Leopold ofiarował teściowej pałac odziedziczony po pierwszej żonie. Mój mąż napisawszy do królowej, prosząc o upoważnienie, zawiózł nas Cesię i mnie do Clarmont. Królowa Amelja wielki miała wdzięk dobroci, godności i prostoty; mego męża powitała jak tylko mogła najserdeczniej; mnie też powiedziała, że się cieszy, że jego szczęście jest w dobrym ręku i dodała, że on tak na to zasługuje ażeby być kochanym.

Raz, byliśmy w Clarmont tylko z wizytą, a raz zaproszeni na śniadanie. Była tam cała rodzina zebrana: książę i księżna de Joinville; książę de Nemours i jego dwie córki: księżniczka Małgorzata, późniejsza ks. Czartoryska i księżniczka Blanche; byli też hrabia Paryża i książę de Chartres; ten ostatni siedział przy śniadaniu przy moim mężu i po chwili powiedział do mego męża: „Vous ne me reconnaissez pas“ *). Nie pamiętam już w jakiej on kampanji był dopiero brał udział, ani w jakim wojsku, ale był mocno opalony. Mój mąż poznawszy go, powiedział że go w istocie nie poznał, bo nie mógł sobie wystawić, ażeby taki młody człowiek, mógł być takim starym żołnierzem.

W Anglii dużośmy widywali pana Beales i pana Birkbeck, najgorliwszych członków Towarzystwa Friends of Poland w Anglii i majora Szulczewskiego, sekretarza tego stowarzyszenia, który przez wiele lat był nie tylko sekretarzem, ale duszą tego Towarzystwa; liczne miał stosunki w Anglii i Polakom przybywającym do Anglii ułatwiał stosunki i w towarzystwo ich wprowadzał. Był też opiekunem wszystkich polskich bied w Anglii, a było ich tam dużo bardzo.

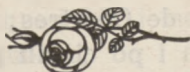
Poznałam także w Anglii panią Giełgudową, której mąż był Emigrantem z 1831 roku. Mówiono o niej, że ma doskonale prowadzących się synów, a że mnie ta kwestja bardzo zajmowała, zapytałam się jak do tego doszła, ażeby takimi byli. „Rzecz bardzo prosta, powiedziała, póki byli dziećmi, starałam się ich nauczyć co źle a co dobrze, i przyzwyczaić od dzieciństwa ażeby nigdy spać nie poszli, nie opowiadawszy mi co przez dzień robili, co widzieli i kogo, co słyszeli, jak się bawili, gdzie byli i t. p. a jak wyrosli i zaczęli w świecie bywać, nie chcąc żeby zwyczaj ten

*) „Pan mnie nie poznaje“.

stracili, zawsze na nich z wieczora, przy lampie i przy kominku z herbatą czekałam. Nigdy nie łajałam, że późno, nigdy się na nich nie krzywiłam, ale czekałam i witałam; a oni wiedząc, że ich to ciepłe i serdeczne powitanie w domu czeka, śpieszyli do niego i coraz bardziej przychodzili do przekonania, że bądź co bądź, w domu jednak najlepiej i chętnie w nim przebywali, niepilno im było z niego wychodzić, a zawsze pilno do niego wracać“.

Te słowa pani Giełgudowej, spotykały się z powiedzeniem św. Franciszka Salezego, że więcej się much chwyta jedną łyżką miodu, niż całą beczką octu. W istocie ta filiżanka herbaty przy serdecznem powitaniu, pewnie o wiele była skuteczniejszą, niż gderania bez końca, jakimi kobiety często witają tych, którychby rade w domu utrzymać, a którym domu uprzyjemnić nie umieją.

C. d. n.



Z NAUK JENERAŁOWEJ ZAMOYSKIEJ

Uległość Duchowi Św.

O. Lallemand mówi, że mało dusz dochodzi do doskonałości, bo mało dusz umie poddać się kierunkowi Ducha św.

Od tej uległości wszystko zawisło.

„Nie będę służył“, mówi szatan. — „Jestem sługą Pańską“, mówi Najśw. Panna. Oto dwa przeciwległe bieguny duchowe: bunt szatana — służba Marji.

Miedzy temi dwoma krańcami, Adam i Ewa. Ewa skuszona obietnicą wywyższenia, Adam zbyt słaby, by oprzeć się woli, której ulegać nie miał prawa. Przy nich, z nimi, na wszystkich szczeblach świętości, na wszystkich szczeblach grzechu t. j. buntu czy słabości, ludzkość cała, każdy z nas.

Wszelki postęp na drodze uległości, jest krokiem naprzód na drodze uświęcenia. Ufam, że nie należymy do ludzi, którzy mówią: nie będę słuchać. Ale nie być buntownikiem, to zbyt mało, trzeba koniecznie być sługą i to sługą uległym.

Zastanówmy się, na czem polega posłuszeństwo kierunkowi Ducha św., dla wszystkich ludzi wogóle, a w szczególności dla każdej z nas.

Jakimi drogami i dokąd chce Duch św. nas prowadzić, przy naszych obowiązkach, w pracy, w stosunkach do otoczenia z najbliższymi, z rodziną, z naszymi kierownikami czy podwładnymi, spowiednikami, przyjaciółmi i tymi, których za nieprzyjaciół uważamy i t. d.

Każdy szczegół ma w tym porządku rzeczy swą doniosłość. Pomnijmy, że służbą Bożą rządzą odmienne prawa niż służbą ludzką, że powodzenie dla chrześcijanina nie polega na osiągnięciu nieosiągalnej doskonałości, ale na wytrwałem do niej dążeniu, że doskonałość nie na tem polega, aby nie upadać, ale na tem żeby się zawsze z upadku podnosić, że naszą ostoją nie jest wiara we własne siły, ale nadzieja w pomoc Bożą — do wykonania Jego dzieła.

Do tego dzieła, mamy rękę przykładać przez naszą dobrą wolę, jak Najśw. Panna współdziałała z Duchem św. przez swą uległość.

Mamy Duchowi św. zostawić swobodę działania w duszach naszych, a nie zasmucać Go nigdy. Szatan rzekł: „Nie będę służyć!” Niech te słowa nigdy nie wyjdą z ust naszych. Bóg powołując nas do bytu, chce w duszach naszych odtworzyć swój obraz, chce nas uczynić członkami Chrystusowymi i uczestnikami Jego życia. Nie przeszkadzajmy Mu w tej pracy.

Pomnijmy, że miara nadziei jest miarą łaski. Im kto więcej ufa, ten więcej otrzyma. Kto ma nadzieję uświęcić się, ten się uświęci.

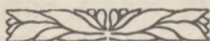
Nigdy nie wymawiajmy się mówiąc: „nie jestem świętym“, bo Bóg chce, żebyśmy stali się świętymi. Po to tylko jesteśmy na świecie, żeby do świętości dążyć. Czego sami osiągnąć nie zdołamy, Duch św. w nas wykona. Naszem zadaniem poddać się bez zastrzeżeń Jego kierunkowi i wierzyć, że On dopełni w nas dzieła Bożego, jeśli nie będziemy przeciwdziałać Jego zamiarom, i jeśli ośmielimy się Jemu zaufać.

Naśladujmy uległość Najśw. Panny, a nie oporność szatana. Nie mówmy: „nie mogę, nie mam sił”. Szatanowi zdawało się, że posłuszeństwo przechodzi jego siły i z anioła światłości stał się aniołem ciemności. „Wszystko mogę w Tym, który mię umacnia“ (Fl. 4, 13.) „Dla ludzi jest to niemożliwe, ale nie dla Boga, dla Boga bowiem wszystko jest możebne“ (Mr. 10. 27.)

Przypomnijmy sobie słowa jednego z ministrów Ludwika XIV: „Sire, jeśli rzecz możebna, już jest wykonana — jeśli niemożebna,

będzie wykonana". A Napoleon chciał, by wyraz „niemożliwe" wymazać ze słownika.

Zastosujmy te słowa do naszego własnego życia. Bóg sam związał się wobec nas uroczystą obietnicą, że stanie się nam według naszej wiary, (Mat. 9. 29.) a zatem — im kto silniej ufa, ten bezpieczniej działa.



Upiększanie ogrodów bylinami

Miłośnicy kwiatów w ogrodach miejskich czy na wsi nie zdają sobie jeszcze należycie sprawy, jak wielką korzyść i przyjemność przy małym stosunkowo nakładzie pracy i pieniędzy, dostarczyć może hodowla bylin.

Zanim przystąpię do szczegółowego jej opisu, muszę objaśnić jakie rośliny do grupy bylin zaliczamy. Otóż byliny są to rośliny zielne a więc tracące na zimę swe łodygi nadziemne lecz korzenie ich nie tracą swej żywotności i na wiosnę budzą się ze swego uśpienia wytwarzając nowe pędy pokrywające się stopniowo kwiatami. Im dłużej korzenie te w jednym miejscu przebywają tem bardziej się wzmacniają tworząc korzenie lub kłącze. Do bylin zaliczamy też niektóre rośliny tworzące bulwy lub cebulki.

Do niedawna jeszcze bylin prawie nieznano a do ozdoby zabudowań i dekoracji parków używano roślin jednorocznych, czasem dwuletnich lub takich, które w klimacie łagodniejszym mogły uchodzić za stałe, jednak naszych ostrych zim nie przetrzymywały.

Tego rodzaju zdobnictwo ogrodów było połączone przede wszystkim z dużymi kosztami, gdyż wymagało corocznego wkładu pieniężnego na nasiona i bardzo drobiazgowej hodowli, z końcem zaś okresu wegetacyjnego tych kwiatów kończyła się też żywotność ich korzeni.

W przeciwstawieniu do tej rokrocznie kosztownej i wymagającej tyle zawodu hodowli kwiatów jedno — lub dwurocznych, chcę zaznaczyć wszelkie korzyści wynikające z hodowli bylin.

Byliny możemy uzyskać wysiewając je w ciągu lata w inspektach, aby otrzymać młode roślinki, które potem rzadziej rozsadzamy a następnie w grunt na stałe przenosimy, ten sposób jest wprawdzie najtańszy lecz wymagający więcej czasu na rozrost

i kwitnienie rośliny. Tylko bowiem niektóre już w roku następnym zakwitną i to na razie słabo, a większa ich część musi wytworzyć silne korzenie (kłącza cebulki) aby mogły w całej wspólności rozwinąć swe kwiaty. Ten więc sposób jest praktykowany raczej w ogrodach handlowych gdzie zależy na wyprodukowaniu dużej ilości młodych roślinek w jednej odmianie.

Drugi sposób rozmnażania; przez sadzonki, jest korzystniejszy, lecz najpierw trzeba posiadać już rozrośnięte rośliny bylinowe i tego sposobu nie można do każdej byliny zastosować. To też kto w swym ogrodzie żadnych bylin nie posiada, musi się zdobyć na jednorazowy wkład t. j. zakupienie korzeni (kłączy bulw, cebulek). Sprowadzać i sadzić można w jesieni lub na wiosnę, a czynnością przygotowawczą będzie doprowadzenie gruntu, gdyż wszystkie byliny wymagają ziemi pożywnej i co roku zasilenia nawozem sztucznym lub naturalnym, koniecznem jest oczyszczanie roślin z chwastu i spulchnienia ziemi. To jest główna praca, której nam byliny dostarczają a w zamian za to staranie, wywdzięczają nam się sownie przepychem kwiatów, przez cały szereg lat.

Ich różnorodność może zadowolić wszelkie wymogi, czy co do barw, czy pory kwitnienia, czy stanowisk: cienistych, słonecznych lub wilgotnych, czy wreszcie co do wysokości roślin, gdyż istnieją byliny służące jako obwódki do klombów i zabalek ale są też stopniowo coraz wyższe i dochodzące do 2 m. wys. nadające się do ozdoby trawników, jako solitery w parkach lub zakrycia murów czy parkanów.

Jeśli już posiadamy jakiegokolwiek byliny dostatecznie rozrośnięte, możemy ich ilość powiększać przez dzielenie korzeni czy kłączy i rozsadzanie ich oddzielnie.

Gdy już omówiłam w przybliżeniu znaczenie bylin, ich zastosowanie i hodowlę, przystąpię do omówienia w krótkości najbardziej rozpowszechnionych i efektowniejszych odmian tych roślin.

Rodzina Jaskrowatych *Ranunculaceae* obejmuje szereg znanych i ozdobnych bylin, zaliczamy do niej Piwonję (*Paeonia*), najokazalsza wśród wszystkich jest *Festiva maxmii* biała chińska o efektownej lekkiej budowie. Dalej Orliki (*Aquilegia*), które na wiosnę w masie tworzą cudowną gamę pastelowych barw, lub Ostróżki (*Delphinium*) w wielu odcieniach błękitnych, szafirowych a także białe, niektóre dochodzą do 2 m. wys. i sadzone oddzielnie imponująco wyglądają.

Z tej rodziny wyliczę jeszcze Zawilce (*Anenou*) są bowiem łatwe w hodowli a stanowią dobry materiał na kwiat cięty, występują w barwach białych różowych i karminowych, trzeba pamiętać, że lubią trochę cienia i wilgoci.

Pośród złożonych (*Compositae*) zasługuje na uwagę Aster Alpejski (*Aster Alpinus*) doskonały na obrzeżenie zabalek wiosennych, kwitnie bardzo obficie w barwach: białych, lila i różowych. Jeśli już mowa o astrach to wspomnę też o astrach jesiennych t. zw. *Gwiazdoszach*, które kwitną do późnej jesieni i tworzą zwartą masę krzewu dosięgającą wysokości $1\frac{1}{2}$ m.

Najokazalszą byliną w naszych ogrodach jeśli nie jest jeszcze to powinien być Płomyk (*Phloz*) z rodziny *Folemoniaceae*, który występuje tak w odmianach niskich obwódkowych czy skalnych jak też w wysokich tworzących różnobarwne kiście kwiatów o miłym zapachu. Jednak gatunków i odmian jest tak wiele, że nie sposób ich wyliczać.

Z pośród bulwiastych wymienię *Begonje* wielkokwiatowe, zaś z cebulkowych, Narcyzy, Tulipany, Hjacynty, Mieczyki, Kosaćce angielskie i holenderskie, śnieżyczki, szafirki, szafrony itd.

Pomiędzy kłączowymi najbardziej znane są Kosaćce (*Irys*) których odmian jest mnóstwo, a w hodowli są tak łatwe, że prawie w każdym ogródku się znajdują.

Z pośród paproci, traw i roślin ozdobnych z liścia jest też wiele odmian zimotrwałych a bardzo pożądaných dla dekoracji trawników i klombów.

Te nieliczne kwiaty, które tu wymieniałam nie są ani setną częścią znanych i hodowanych bylin a podałam je tylko dla orientacji w dziale bylinowym ciesząc się nadzieją, że wiele miłośników kwiatów zechce się z tak wdzięcznymi roślinami bliżej zapoznać i mieć je w swym ogrodzie.

W Polsce mamy już parę handlowo prowadzonych ogrodów prawie wyłącznie bylinowych, które potrafią dobrać według własnego uznania odpowiedni komplet różnorodnych bylin. Z pośród tych polecam na pierwszym miejscu Ogrody Bar. St. Heydlów p. Sokołów ad Stryj i ogrody Heutschla w Grudziądzu.

E. M.

Zawiadomienie.

Dnia 12 maja b. r. w kościele parafjalnym przy farze w Grudziądzu, odbył się ślub p. Kazimierzy Klejnównej z p. Leonardem Januszewskim.

Szczęść im Boże!

KRONIKA

Ostatnia matura Instruktorów wypadła bardzo pomyślnie. Po egzaminach praktycznych w kwietniu, odbyła się matura piśmienna 5, 7 i 9 maja a ustna 19 i 20 maja, pod przewodnictwem pana Miskego, Naczelnika Wydziału Szkół Zawodowych Kuratorium Krakowskiego. Obecny na egzaminie był ks. dziekan Tobolak z Zakopanego, oraz Delegat Zarządu Fundacji Kórnickiej pan Rektor Grochmalicki z Poznania.

Wszystkie kandydatki, w liczbie 12, zdały maturę, a mianowicie: Tosia Birnbaum, Janka Gertlerówna, Julia Jaroszwówna, Łódzia Kędzierówna, Halina Kluczyńska, Genia Krasnowska, Łódzia Mielczarkówna, Marysia Preussówna, Józia Rodakówna, Jadzia Słonkówna, Józia Suszylówna, i Hela Turecka, 7 zdało z postępem: dobrym, 5 z postępem: bardzo dobrym.

Pan Naczelnik Misky, kilkakrotnie podkreślał swoje zadowolenie z przebiegu egzaminów i uznanie dla Dyrekcji Szkoły za sposób, w jaki prowadzone były Kursa Instruktorów od początku ich istnienia. Zaznaczył, że były postawione na należytych poziomach, odpowiadały swemu celowi, i że Kuratorium Szkolne z prowadzenia ich było bardzo zadowolone. Ubolewał nad koniecznością finansową, która zmusiła Zarząd Fundacji Kórnickiej do zamknięcia tego działu pracy w naszym Zakładzie.

W parę dni po egzaminie, maturzystki na własną prośbę odprawiły dwudniowe rekolekcje, w czasie których miał dla nich nauki ks. Dziekan Tobolak.

Przed wyjazdem maturzystki urządziły dla całego domu pożegnalny podwieczorek »własnej roboty«, który się odbył w szwalni gustownie udekorowanej.

Obecnie już prawie wszystkie wyjechały na dobrze zasłużone wakacje, a od jesieni obejmą posady. Jechały pełne otuchy i nadziei w przyszłość.

Dzień Imienin pani Przełożonej Julji Zaleskiej, był świętem dla całego domu. Rano Msza św., w czasie której chór śpiewał pieśni, odprawiona była na intencję naszej drogiej solenizantki — jubilatki, która w tym roku obchodzi 50-lecie swej pracy w Stowarzyszeniu M. Boskiej Dobrej Rady. Po południu uczennice składały uroczyste życzenia przeplatane pieśniami, a na zakończenie wypowiadały ustępy Pisma św. odnoszące się do 3-ich cnót teologicznych. Na przemówienie uczennic: Geni Krasnowskiej (imieniem kursu trzyletniego) i Jadzi Kowalskiej (kursu rocznego) odpowiedziała roz-

rzewniając p. Zaleska, życząc wszystkim młodym, by po długiej owocnej pracy, czuły się tak szczęśliwe jak ona przez całe 50 lat pracy! 50 lat, w których nie brakło chwil trudnych i ciężkich krzyżów... »Warunkiem szczęścia: ukochanie pracy, ukochanie idei, oddanie się zupełne, mówiła, tylko wtedy trud staje się łatwym do zniesienia; w tem ukochaniu swej pracy i celu, dla którego się pracuje, znaleźć można jedynie siłę do wytrwania!«

Wieczorem ochronka odegrała przedstawienie p. t.: »Śpiąca Królewna«.

Kuźniczanki w Puławach: Kilka z naszych uczenie I i II kursu instruktorek, którym z powodu zwinięcia tego kursu w Kuźnicach, nie było danem kończyć u nas nauki, zostało przyjętych na 2-letni kurs instruktorek gospod. w szkole prowadzonej z inicjatywy »Koła Pań Ziemianek« w Rudzie Czechowskiej pod Puławami. A mianowicie zostały tam przyjęte po pomyślnie zdanym egzaminie: Hania Goszczyńska, Wanda Muraszko, Genia Wróblewska, Marysia Brdękówna, Zosia Jazówna, Zosia Łukasiewiczówna i Maryla Szafkowska. Pisują często listy, bardzo im tam dobrze, czują się zadowolone.

Nasi goście: W czasie Zielonych Świąt gościliśmy wycieczkę uczenie z Białego Klasztoru, (gimnazjum S. S. Niepokalanek w Nowym Sączu.) Przyjechały dziewczynki z VI-tej i VII-ej klasy, i w czasie trzydniowego pobytu, zrobiły szereg wycieczek: wozami do Morskiego Oka, autobusem do Doliny Kościeliskiej, i piechotą do Czarnego Stawu Gąsienicowego, na Nosal, Kalatówki, i Kozieniec skąd obserwowały »Sobótki«. Zwiedziły Muzeum Tatrzańskie i nasz Zakład, pozostawiając najmiłsze po sobie wspomnienia.

W ostatnich czasach spędziły u nas dwa tygodnie p. Marja Zarzycka (przewodnicząca Warszawskiego Koła Kuźniczanek) i siostra jej p. Wanda Zarzycka, obie tak zawsze mile u nas widziane. Obiecują odwiedzić nas znowu w sierpniu.

O. Brillet, Generał Oratorjanów francuskich, przyjeżdża do Kuźnic z początkiem sierpnia i pozostanie 3 tygodnie.

Letnisko w Pieninach.

Urządzone i prowadzone przez dawną Kuźniczkę. Pokoje z całodziennem utrzymaniem 5 — 7 zł. od osoby. Dojazd koleją do Nowego Targu, stamtąd autobusem. Adres: *p. Urszula Szucka — Sromowce Wyżne poczta Czorsztyn*, (wojew. Krakowskie).

Wycieczka na Granaty.

Już we czwartek zapowiedziano, że o ile dopisze pogoda, to na drugi tydzień we wtorek, odbędzie się imponująca wycieczka na Granaty, jedne z licznych szczytów wznoszących się nad Czar-nym Stawem Gąsienicowym. Wiadomość została przyjęta z ogólną radością ze strony uczennic. Postanowiono zgodnie wysłać podanie do Pana Boga, z prośbą o pogodę na wtorek. Tymczasem, osoby nie mające wziąć udziału w wycieczce, modliły się o deszcz dla spragnionych roślin i ziemi.

W wigilję dnia przeznaczonego na wycieczkę, niewiadomo skąd napłynęły groźne chmury i otuliły ciemnym całunem Guba-tówkę, nasz barometr. Serca wycieczkowiczek zadrżały na myśl, że cała radość i wszystkie przygotowania na nic. Smętne ukła-dały się wieczorem na spoczynek. Były jednak harde dusze, które starały się wlać nadzieję w serca koleżanek, prorokowały słońce, a nawet robiły wielkie zakłady, a conto jutrzejszej pogody. Ale niebo zawzięło się i około godziny dziewiątej, lunęło strumienia-mi deszczu, akompaniując sobie grzmotami i oświetlając tonący we łzach świat jaskrawymi błyskawicami. W godzinę później, natura uspokoiła się, a równocześnie zrezygnowane amatorki wy-cieczki, spokojnie zasnęły.

Przyszło wreszcie jutro, skoro świt, zerwało się wszystko z łóżek i pobiegło na wyścigi do okien, aby skonstatować fakt, że pogoda jednak dopisała. Zatem alarm w Zakładzie, idziemy na wycieczkę! Jedne biegają za Panią Przełożoną z prośbą o wy-cieczkę, bo przecież pogoda, inne telefonują do Pani D., która miała wycieczkę prowadzić, z zapytaniem czy nie wie czasem, czy też deszcz będzie dzisiaj padał, zamiast dowiedzieć się czy popro-wadzi wycieczkę. Wreszcie w telefonie brzmi katagoryczna odpo-wiedź: „czy deszcz będzie to nie wiem, ale zaraz idę do Kuźnic”. Na takie dictum, nastał sądny dzień — poginęły plecaki, pomie-szały się prowianty, każdy biega i czegoś szuka. Na to wszystko, przychodzi przewodniczka i z trudem zaprowadza ład. Ruszamy. Przez plecy przewieszony plecak, nogi w grubych skarpetkach i butach, na grzbiecie lekka suknia, swetr na wypadek chłodu lub deszczu, na głowie czapka z daszkiem, spreparowana na po-czekaniu z najzwyczajszego beretu.

Pierwszy wysiłek idzie na pokonanie Boczania. Towarzystwo trudzi się i poci, wreszcie stanęło u szczytu. Jesteśmy na drodze

do Hali Gąsienicowej, tutaj pierwszy odpoczynek. Przed oczami roztacza się wspaniały widok, u stóp śliczna Dolina Olczyska, w głębi na lewo Zakopane, przed nami Poronin i cała Dolina Nowotarska. Poza nią we mgłach kryje się cały łańcuch gór, z których wystrzelają wyższe szczyty: Pilsko, Babia Góra pokryta jeszcze czepeczką ze śniegu, Turbacz i ginące oraz wysuwające się co moment z głębi nieba, Pieniny. Wiatr przegania mgły i odsłania coraz to nowe ramiona gór. Po zaznajomieniu się z roślinnością, rosnącą w tym pasie, wycieczka ruszyła dalej.

Drugi postój był w schronisku na Hali Gąsienicowej. Nadwątłone siły wzmacniamy herbatką i przyniesionymi zapasami, dzieląc się po bratersku. Po odpoczynku zdążamy drogą do Czarnego Stawu Gąsienicowego, pozostawiając w schronisku trzy ustające ze zmęczenia pociechy. Gdy stanęliśmy u celu, z oczu naszych znikają góry zasnuwane mgłami. Zatem znowu odpoczynek i narada, w którą stronę nam teraz pójść wypada. Czy wybrać Kościelec, czy też Granaty. Długie spory i zatargi załagodziła przewodniczka, decydując, że idziemy na Granaty. Decyzję tę przyjęto z ogólnym aplauzem. Wędrówka nasza rozpoczęła się od przeprawy przez strumień, przyczem nie obeszło się bez zamoczenia nóg. Nikt jednak nie zastanawiał się, bo czas naglił, a zresztą chlupocząca w butach woda sprawiała przyjemność. Po przeprawie zaczęto wspinać się w górę po kamieniach, poruszających się jak zepsute klawisze. Właściwą drogę na Granaty, zasłaniała nam jeszcze kosodrzewina będąca przyczyną licznych upadków.

Idziemy jedna za drugą wdychając i wyciągając możliwie jaknajwyżej nogi. Kilka zapalonych taterniczek straciwszy wiarę w swe siły pozostało na drodze, z zamiarem odpoczęcia i powrócenia w dół do schroniska. Reszta około dwadzieścia kilka nie zwracając uwagi na pot zalewający oczy, drapie się dalej. Stajemy wreszcie przed kamienistym żlebem, którym trzeba iść w górę. Kto nie był w Tatrach nie potrafi sobie wyobrazić takiej podłóży, w czasie której, za dwa kroki zrobione naprzód, trzeba odpokutować pięcioma w tył. Już dwie nogi nie wystarczają, trzeba pomagać sobie jeszcze rękami, a i to zamało, by zapobiec obsuwaniu się w dół. Z zapartym oddechem, w milczeniu, posuwamy się powoli w górę, w tem krzyk „baczność kamień leci“ daje znać, że skupić należy całą uwagę. Głazy spadające z hukiem i łoskotem mrozą krew w żyłach, grożąc nieostrożnej głowie wysuwającej się z za skalnej ściany, śmiercią. Tu znowu parę

osób zostaje, reszta wytrwale dąży naprzód. Na połowie drogi, stajemy przy rozgałęzieniu żlebu, które prowadzi na najwyższy północny Granat. Droga pokryta śniegiem, staje się groźną, chęć dostania się na szczyt przypłacić można życiem, zesunąwszy się w dół po śniegu. Kapitulujemy zatem z naszych zamiarów i zastanawiamy się: czy wrócić i iść jeszcze na Kościelec, czy też pisać się w górę pod Fajki, w pobliżu najwyższego punktu Granatów. Uczestniczki wycieczki, którym w głowach nie chciało się pomieścić, by zrezygnować mogły wogóle z Granatów, decydują się na karkołomną drogę na górę pod Fajki.

Idziemy, a raczej wlecziemy się na czworakach i znowu słychać tylko sapanie, westchnienia i łoskot spadających kamieni od czasu do czasu przerywa ciszę krzyk, uwaga, bo kamień leci, w tem, „Boże jak ja wyglądam”, krzyczy uczestniczka wycieczki, niezapominająca i w napowietrznej podróży, o swej toalecie. Wspinaniu się przeszkadzają nogi zadługie lub zakrótkie, spódnice, swetry i wogóle całe ubranie. Każda marzy o skrzydłach lub choćby prozaicznym areoplanie, który wzniosłby ją na górę.

Stajemy wreszcie przed tak zwanym kominem. Dwie ściany pionowe, środkiem wążutki rów, a w nim resztki śniegu. „Ja nie przejdę” woła któraś, „Ja się wracam” woła druga. „A ja siadam i zjeżdżam na dół” woła trzecia. „Raz kozie śmierć, puście mnie iść” krzyczy czwarta. Pociągnięte dobrym przykładem i silnemi rękami poprzedniczek, wchodzą wszystkie ponad komin. Za nim droga jeszcze gorsza, idzie się nie widząc nic, tylko lecące głązy i pięty poprzedniczek.

Nareszcie pierwsze już są na górze, ciekawie oglądają krajobraz. Przed oczyma wyrastają całe zachodnie Tatry, aż do najdalszych krańców. To z jednej strony, a z drugiej zasłania horyzont Żółta Turnia, Kosista, w dali Krzyżne, w dole stawy, nad głową z jednej strony płaskie, pionowe ściany Fajek, z drugiej masyw Wielkiego Granatu, Gewont i Kościelec pod naszymi stopami.

Jesteśmy na imponującej wysokości 2 tysiące metrów ponad poziom morza. Grózne góry, majestatycznie rozciągające się ogromy, zamykają usta i włączają z powrotem okrzyki podziwu. Każda pilnie śledzi swoje i koleżanek ruchy, bowiem jeden nieostrożny krok, a spadnie się w przepaść bez dna.

Nareszcie znalazłszy jakie takie możliwe miejsce, siadamy i teraz każda z ciekawością wypatruje w dole głów koleżanek wysuwających się z za głazów. Myny strudzone, przestraszone, ale

wesołe i pełne triumfu z pokonanej trudności. Dowcipy na temat podróży obiegają wkoło. Za każdą pojawiającą się głową oklaski i wesoły śmiech. „Czekajcie, ja się będę śmiała z was jak tylko wyjdę na górę” — odgraża się jedna, której krótkie nogi nie pozwoliły wyprzedzić koleżanek. Wtem z za jednego głazu, wysuwa się różowa figurka i z trudnością łapiąc dech woła: „kamień spadł rozbił głowę i nogę”, wszyscy truchleją. Z różową figurką, będącą w dużej odległości od szczytu, trudno się dogadać bowiem ciągle powtarza to samo. Co robić? W ogólnem naprężeniu, widzimy jak z za zrębu skalnego wysuwa się poszkodowana, ale uśmiechnięta i machająca ręką, za nią druga z potłuczoną nogą, udająca wielkiego zucha, ale od czasu do czasu kulejąca. Uczucie ulgi ogarnia wszystkie, jeśli iść mogą i śmieją się, to napewno nic poważnego.

No, już wszystkie są na górze, teraz dzielą się wrażeniami. „Wiesz ja się tak strasznie bałam, że zaczęłam robić rachunek sumienia”. „A ja żałowałam, że nie byłam wczoraj u Spowiedzi św.” Opowiadaniom niema końca, a śmiech tysiącznem echem odbija się od gór.

Po ochłonięciu przewodniczka proponuje wspólną fotografię. Szukamy zatem miejsca na ulokowanie się. Już jest, siadamy, zanim jednak ustawiono aparat, każda zjechała przynajmniej na pół metra w dół, przytem znowu śmiech.

Po uwiecznieniu naszych twarzy na kliszy fotograficznej, przewodniczka daje hasło odwrotu. Teraz panika, „nie pójdziemy” „my tu zostaniemy” „ja się zabiję” i t. d. Znowu dobry przykład pociągnął oporne taterniczki. Och ta podróż! pisać o niej nie mogę bez wypieków i głębokich westchnień. Znowu lecące głazy, okrzyki przerażenia, wołania, uwaga, wreszcie dzwoniąca w uszach cisza. Każda stara się stąpać ostrożnie jak górską kozica, by nie strącać kamieni na głowy innych, obliczone każde stąpienie i ruch. Cała zimna krew przywołana na pomoc. Od czasu do czasu kwilenie „jeszcze tak daleko” i znowu cisza. Z góry na dół zsuwają się milczące duchy białe, różowe, niebieskie, zdążające na jakieś misterjum, niektóre z rozpaczliwym gestem siadające i skracające drogę, przez zsuwanie się wraz z kamieniami.

Wreszcie zamajaczył przed oczami Czarny Staw, jeszcze krok, dwa, a już twardy grunt, ubita droga, znaki. Ta wąska kamienista, pełna dołów i kałuż ścieżka, wydała się nam asfaltowanym gościńcem. Jeszcze parę upadków, skoków, potknięć, przeprawa przez strumień, a już jesteśmy na drodze do schro-

niska. Spieszymy nie czując zmęczenia, bo wielka chmura deszczowa grozi przemoczeniem. Granaty jak gdyby zazdrosne o wydartą im tajemnicę, zasnuwają się znowu mgłami. Zato Kościelec dziś pogardzony przez nas, wysuwa buńczucznie swój szczyt i szuka między chmurami słońca.

Przed drzwiami schroniska, witają nas pogubione po drodze towarzyski, wypoczęte, najedzone, naigrawają się z naszych usmarowanych sukien, podrapanych nóg, rozbitych głów. Ale zdobywczyńie Granatów spoglądają na nie z góry, z pogardą dla ich braku wytrwałości. Zasiadają teraz one do herbatki i pozostałych kromek. Po zaspokojeniu pierwszego głodu, rozwiązują się języki i opowiada się z dumą o wyczynach na Granatach.

Zachodzące słońce, które wypłoszyło chmury nie chcąc psuć nam wycieczki do końca, daje znak, że już czas do domu czas. Z żalem żegnamy Granaty, przyczynę strachu i twogi i wracamy do Kuźnic przez dolinę Jaworzynki. Przed bramą Zakładu rozlega się pieśń „Myśmy przyszłością narodu“ i uczestniczki wycieczki zgodnym marszem podchodzą do domu.

A tu jeszcze dzielenie się wrażeniami z pozostałymi koleżankami, opatrywanie i bandażowanie inwalidów, wreszcie spożycie obfitej kolacji, wśród śmiechu i radości, zakończyło program dnia.

Równy z uderzeniem gongu sen ujął w swe objęcia strudzone taterniczki, przywołując na pamięć przeżyte chwile, wywołując senne marzenia, których następstwem były rozlegające się późną nocną porą okrzyki o pomoc, śmiechy, lub wołania „uwaga bo kamień“.

Dowodem, że wycieczka nikogo nie zniechęciła, jest prośba o drugą, na najwyższy Granat północny.

Jedna z 30 uczestniczek.

Do nabycia w Redakcji „Kuźniczanki“.

Życiorysy M. Józefy Karskiej i M. Marceliny Darowskiej, założycielek Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek. — Jazłowiec 1929. —

Cena 8 zł.

Z listów dawnych uczenie

Warszawa dn. 5 czerwca 1931 r.

...Przesyłam Pani krótki opis Zjazdu Unji Międzynarodowych Katolickich Związków Kobiecych, w którym brałam udział w dniu 1 czerwca b. r. Jest to nietyle sprawozdanie ze Zjazdu, ile raczej bardziej osobiste ujęcie przeżytych wrażeń.

Zjazd rozpoczął się nabożeństwem w katedrze Św. Jana, celebrowanem przez Jego Eminencję ks. kardynała Kakowskiego. Dostojny celebratns osobście udzielał Komunii Św. przed wielkim ołtarzem. Była to chwila podniosła, to zbratanie się w Panu Jezusie siostrzyc-katoliczek nawet z poza granic Europy. Szkoda, że tylko niewiele osób zrozumiało doniosłość takiego duchowego zbratania z katoliczkami świata, bo katedra świeciła pustkami, w przeciwieństwie do samego zjazdu, w którym udział katoliczek polskich był znaczny.

Otwarcie zjazdu nastąpiło o godz. 10^{1/2} w sali Resursy Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu. Przewodniczyła p. Władysława Zamoyska, przewodnicząca Katolickiego Związku Polek. Piękne przemówienie inauguracyjne wypowiedział ks. kardynał Aleksander Kakowski.

Ks. Kuwaldt, przybyły z Holandji, w przemówieniu swem podniósł wiarę w Opatrznościowe powołanie Polski do obrony Europy przed niebezpieczeństwami grożącemi jej ze Wschodu. Przypomniat obronę przed muzułmanami i zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem. »Obecnie, mówił, jesteście stróżami wschodniej granicy Europy przed zalewem bolszewickim«.

Następnie przemawiała p. Steenberghe-Engeringh, przewodnicząca Unji Międzyn. Kat. Zw. Kobiet, mówiąc o **Akcji Katolickiej na terenie międzynarodowym**, przedstawiając czem jest ta akcja i jak ją rozumie Ojciec Św. Akcja katolicka to życie po katolicku w życiu duchowem jednostki i w jej życiu rodzinnem, zawodowem, społecznem i publicznem. Podkreślała odpowiedzialność kobiety katolickiej, osobistą i wynikającą z przynależenia do związków katolickich. Bardzo podniosłem było przemówienie hr. de Vélard, przewodniczącej Ligi Patrijotycznej Francuzek: **Katolicyzm i czasy obecne**, P. Weber, posłanka do parlamentu Rzeszy Niemieckiej, wygłosiła piękne przemówienie p. t. **Kobieta w życiu publicznem**. W życiu publicznem kobieta powinna być apostołką sprawiedliwości i miłości w stosunku do współobywateli kraju. Podkreślała także p. Weber różnicę pomiędzy ruchem kobiecym feministycznym, socjalistycznym czy komunistycznym, a ruchem kobiecym katolickim. Podczas gdy pierwsze z tych kierunków mówią kobiecie o jej prawach, ruch katolicki mówi kobiecie o jej obowiązkach. P. de Rostu, przewodnicząca Młodych Ligi Patrijotycznej Francuzek, opracowała: **Nowe**

metody i prądy w pracy społecznej. W pięknym przemówieniu, które nazwała rzutem oka z areoplanu, mówiła o społecznej pracy człowieka, w którym instynkty społeczne sam Pan Bóg stworzył. Nie radziła odchodzić zbyt daleko i wysoko, ale zadowalniać się najbliższymi obowiązkami dnia dzisiejszego. Wyrażała przytem wiarę, że w obecnym kryzysie przemysłowym i finansowym, który w mniejszym lub w większym stopniu objął niemal wszystkie narody świata, trudności ludzkie dnia dzisiejszego Pan Bóg widzi, i tak jak w historii dziejów zawsze kierował zagrożeniami losami ludzkości, tak i obecnie znajdzie właściwe rozwiązanie dla potrzeb dnia dzisiejszego.

Po przerwie obiadowej **P. Baers**, przewodnicząca Katolickiej Ligi robotnic w Belgji, przedstawiła doskonałą organizację katolickiego ruchu wśród robotnic w swej ojczyźnie, podkreślając, że dzięki tej organizacji prądy socjalistyczne i komunistyczne, zmalały niemal do zera i przestały być niebezpiecznymi.

W zastępstwie odwołanej do Włoch **p. Barelli**, umiłowanej przez młodzież żeńską i z wyboru Ojca Św. przewodniczącej Związków młodzieży żeńskiej we Włoszech, przemawiała entuzjastycznie jedna z gorących jej adeptek **p. Giay Liavray: o organizacji młodzieży żeńskiej we Włoszech.** Rozpowszechnienie tej organizacji nienależenia do której wstydzi się każda poważniej myśląca dziewczyna włoska, a młode dziewczątka są już do niej aspirantkami, 10.200 parafii zorganizowanych, godła tych organizacji: »Eucharystja«, »Apostolstwo«, »Heroizm« — mówią same za siebie. Modlitwą i przykładem dochodzi się do wyników nadzwyczajnych: tam gdzie bywało 100 (nawet 6) Komunii Św. rocznie, obecnie na każdej Mszy Św. jest rozdawanie po 100 Komunii Św.

P. Christinne de Hemptinne, przewodnicząca Unji Młodych, mówiła: **O międzynarodowym katolickim ruchu młodzieży.** Podkreślała konieczność życia w zgodzie z obowiązkami wynikającymi z łask otrzymanych w sakramentach chrztu i bierzmowania; wspomniała o ankiecie, która była rozsyłana dla zbadania, czy dziewczęta żyją logicznie z łaskami otrzymanymi na chrzcie i bierzmowaniu. Powinniśmy żyć logicznie w związku z otrzymanymi łaskami zarówno w naszym życiu duchowym jak rodzinnym, zawodowym, społecznym i publicznym. Wspomina o potrzebie apostołstwa w stosunku do przybyszek na uniwersytetach z Indyj, Chin i t. p. Zwraca się z apelem do matek, aby nie broniły córkom pracy społecznej, ale raczej zachęcały je do niej.

Ostatnią z przedmówczyń była **delegatka organizacji młodych w Meksyku**, która przedstawiała dzieje 3-letniego męczeństwa Meksyku pod prześladowaniami ze strony rządu. 3 lata Meksyk, w większości o ludności katolickiej, pozbawiony był Najśw. Sakramentu w kościołach i posług duchownych, wygnanych poza granice kraju. »Czy możecie sobie wyobrazić

coś smutniejszego jak kościół bez Najśw. Sakramentu, a sumienia ludzkie bez przebaczenia!« mówiła pełna uroku przedmówczyni, która sama w czasie prześladowań była kilka razy więzioną. Ojciec Św. w liście swoim zacięwał katolicką ludność meksykańską do gruntownej na nauce opartej Akcji Katolickiej, obejmującej mężczyzn, kobiety, młodzież męską i żeńską. Wszyscy stanęli do apelu i na wysokości zadania, a rezultatem jest spokój obecny. Instytut *Cultura Femina* przygotowuje kandydatki na katechetki dla zaradzenia brakowi księży, których po prześladowaniach jest 3.000 na 14 milionów ludności. Po upływie roku działania Akcji Katolickiej 24 parafje są zorganizowane. Męczenników meksykańskich w czasie prześladowań nazwał Ojciec Św. w liście do Meksykan pierwszymi męczennikami Chrystusa Króla. Góracem pragnieniem katolików Meksyku jest nadal pracować dla rozwoju w swej ojczyźnie Królestwa Chrystusa Króla.

Zakończyło zjazd przemówienie nuncjusza Marmaggi i jego błogosławieństwo apostołskie. Nuncjusz zaleca w Akcji Katolickiej stawiać sobie za wzór ofiarę Chrystusa Pana. Trzeba nam być obecnie pełnemi odwagi gotowemi na afiary, aby Królestwo Boże mogło się odrodzić. Polkom-katolickom mogą przyświecać w pracy piękne historyczne przykłady Dąbrówki i Jadwigi, które wiarę chrześcijańską wprowadziły w Polskę i na Litwie.

Opisy doskonałej organizacji związków katolickich (Belgja, Włochy, Meksyk) z jednej strony, a z drugiej objawów miłości dla Najśw. Sakramentu, zaparcia siebie w szerzeniu idei apostołstwa i heroizmu w czasie prześladowań budziły dwojakie uczucie rozrzewnienia i radości, że Chrystusa Pana tak bardzo po świecie kochają i tak wiernie Mu służą i zarazem zawstydylenia, że u nas o takiej zwartej organizacyjnej pracy jeszcze niema mowy.

Oby ten zjazd międzynarodowy był i u nas zarzewiem lepszego zorganizowania Akcji Katolickiej wśród ogółu ludności i gorętszej służby dla Chrystusa Króla!

M. B.

Komunikat Instytutu Gospodarstwa Domowego.

Instytut Gospodarstwa Domowego nadał cechę Instytutu dla: Piecyka Gazowego pod nazwą »SMAKOSZ«. Wytwórnia: Cynkownia Warszawska, ul. Bodena 3 inżynier Rapacki, cena: 85 złotych, dla członkiń »Związku Pań Domu« i »Instytutu Gospodarstwa Domowego« opust 15%. Bliższe szczegóły w numerze czerwcowym pisma »Organizacja Gospodarstwa Domowego«.

WYDAWNICTWA.

„Organizacja Gospodarstwa Domowego“ miesięcznik, przynosi nam gospodyniom wiele ciekawych artykułów i tak: »Dobrodziejstwa i Niebezpieczeństwa Słońca« *Dr. med. Zofja Rostkowska*, artykuł bardzo aktualny, przedstawia dodatnie i ujemne wpływy słońca, na nasz organizm. Następnie podaje sposób naświetlania promieniami słonecznymi. Czas i jakość naświetlań zależna jest od indywidualnych cech danego człowieka. »Nowe Sposoby Wyrobu Galaret Dżemów i Marmelad« *Andrzej Mering*. Jest to dokończenie artykułu z numeru majowego. Podaje tu autor garść praktycznych wskazówek przy fabrykowaniu wyżej wymienionych przetworów owocowych. — »Konserwy na zimę« *inż. chemik Irena Laskowska*. Omawia sposoby konserwowania produktów na zimę przy pomocy: cukru, wysokiej temperatury (sterylizacja), próżni suszenia, kiszenia, marynowania. — »Pakowanie walizek« *Gabrijela Kwapiszewska* zaznajamia z racjonalnem pakowaniem walizek do podróży. Za cel bierze wykorzystanie każdej najmniejszej przestrzeni, oraz zapobieganie zmięciu się przedmiotów, nawet w czasie długiej podróży. Dalszy ciąg czerwcowego numeru to: Odpowiedzi Redakcji na różne zapytania ze strony czytelniczek, Kronika, Bibliografia i Przegląd czasopism, w końcu opis i ilustracje przedmiotów cechowanych przez Instytut Gospodarstwa Domowego.

(A. K¹).

„Mysterium Christi“ czasopismo liturgiczne Nr. 5. Zesłanie Ducha św. *O. Recelj*, w artykule »Msza św. w dniu Zesłania Ducha św.« rozwija myśli zawarte w tekstach liturgicznych z tego dnia. W dokończeniu artykułu *Ks. Krafta* »Liturgia i ruch liturgiczny«, przedstawiony najprzód rozwój i stan aktualny ruchu liturgicznego we Francji, Anglii, Niemczech, Austrii, Holandji i Czechosłowacji, oraz cel tego ruchu, tj. uczestnictwo w życiu Chrystusa przez żywy udział we Mszy św. i przez wżywanie się w rok kościelny, którego poszczególne okresy i święta nie tylko historycznie rozważać mamy, ale przede wszystkim wcielać ich treść w nasze czyny i życie.

Resztę numeru stanowią artykuły: *Ks. Pacuszka* »Nieporozumienie Paschalne«. — *O. Spors*: »Muzyka kościelna według woli Kościoła«. — *Ks. Dr. Gładysz*: »Hymny tercji, teksty i nony«. — *Ks. Maranger*: »Akcja liturgiczna we Francji«. — *Ks. Lanwaerts*: »Ruch liturgiczny w Holandji«. — *Ks. M. K.*: »Harcerstwo a liturgia, wreszcie Sprawozdania i Recenzje.

(j. s.)

„Przewodnik Społeczny“ miesięcznik wychodzący w Poznaniu pod redakcją *Ks. Dra Kozłowskiego*, Dyrektora Kat. Szkoły Społecznej. (abonament kwartalny: 5 zł.)

Pismo to, które znajdować się powinno w każdej czytelnicy i w rękę każdej działaczki i działacza społ. poświęciło cały numer majowy (5-ty) omówieniu Encykliki *Rerum Novarum* w 40-letnią rocznicę ukazania się tejże.

Ks. Prof. Wóycicki w artykule: »Geneza encykliki »*Rerum Novarum*« omawia przyczyny bliższe i dalsze które spowodowały ukazanie się tego wiekopomnego dokumentu W drugim artykule: »Pierwszy popularyzator encykliki *Rerum Novarum* w Polsce«, uwypukla tenże autor działalność

społeczną Edwarda Jaroszyńskiego i podaje sylwetkę duchową naszego wielkiego rodaka. *Ks. Piwowarczyk* omawia niezniszczalne wartości encykliki »Rerum Novarum«, a autor anonimowy stosunek tejże encykliki do Akcji Katolickiej.

Końcowe kartki numeru przynoszą nam cenny materiał do wygłaszania popularnych wykładów: *M. Niesiołowskiej*: »Rerum Novarum a kobieta«, — »W czterdziątą rocznicę«. — »Czem jest Encyklika »Rerum Novarum« dla młodzieży«. (j. s.)



Książki i nuty do nabycia w Kuźnicach

<i>Generałowa Zamoyska:</i>	»O Wychowaniu«	cena zł.	7—
„ „	»O Miłości Ojczyzny«	„ „	2—
„ „	»O Pracy«	„ „	3—
„ „	»Il.Trabajo« (» Pracy«		
	w tłum. hiszpańskim) broszurowane	„ „	3—
	ładnie oprawn.	„ „	5—
<i>Zakład Kórnicki:</i>	»Przepisy Spiżarniane«	„ „	3—
„ „	»Porządki Domowe«	„ „	150

Słowa Pisma św. podane do rozmyślenia:

Genesis	„	2—
Exodus	„	2—
Leviticus	„	150

Muzyka kościelna:

<i>Marja Zamoyska</i>	»Agnus Dei«	. . .	cena zł.	—50
„ „	»Ave Maria«	. . .	„ „	1—
„ „	»Tantum ergo«	. . .	„ „	—50

Muzyka Salonowa:

<i>Marja Zamoyska:</i>	„Bory Litewskie“	. . .	cena zł.	150
„ „	„Słonko“	. . .	„ „	1—
„ „	„Siedzi ptaszek na drzewie“	. . .	„ „	1—
„ „	„Wróbelek“	. . .	„ „	1—
„ „	„Są chwile w życiu“	. . .	„ „	150

